



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



List z Warszawy.

Wierna Gołąbka pocztowa przedewszystkiem wita pozdrowieniem serdecznem wszystkie nowe przyjaciółeczki swoje, świeżo przybyłe czytelniczki naszego pisma, panom czytelnikom piękny dyg przesyła. Lecz serdeczniej jeszcze dziękuję dawniejszym, którzy i mnie, i Kochanej pani przesłali w świątecznej porze tyle dowodów życzliwości. Ze łzami rozrzewnienia Kochana pani wyjmowała opłatki z liścików, przybywających z różnych stron świata, niekiedy z dalekich bardzo. I łamiąc się ze mną temi opłatkami, mówiła: „Cóż to za szczęście mieć tak liczną, tak kochaną i kochającą rodzinę!” O, bo nasze „Wieczory” nie darmo noszą ten tytuł „Rodzinnych”, redakcyja z czytelnikami tworzy zgodną, wspólnymi uczuciami złączoną rodzinę.

A ileż to radości przyniosły hojne wasze jałmużny, i nam rozdającym, i ubogim dzieciom, obdarzonym przez

was! Ile błogosławieństw, ile modlitw gorących przesłały do nieba na intencyą ofiarodawców biedne dzieci i wdzięczni ich rodzice! Opowiem wam tylko parę drobnych wydarzeń, świadczących, jak to niewielkim nawet kosztem otrzeć można nieraz łzy niedoli. Siedzimy sobie pewnego wieczora w pokoju Kochanej pani, ona w swoim dużym fotelu, przy stole zarzuconym książkami, papierami, listami, przy tym stole redakcyjnym, na którym układa się co tydzień każdy nowy Nr. „Wieczorów”, ja u nóg jej na niskim stołeczku. Zwykle to moje miejsce, gdy przychodzę po rozporządzenia, a często, jak jest czas po temu, pozwalam sobie na dłuższą pogawędkę się usadowić. Otóż i wówczas wieczorem rozmawiamy sobie, o czym? Rozumie się o „Wieczorach”, i o was, gdy wtem zcicha wchodzi do pokoju służąca Kochanej pani, pocziwa Katarzyna. Miała jakiś interes, ale mówiła głosem zmienionym; spojrzałam na nią i odrazu poznałam po oczach zaczerwienionych, że musiała płakać przed chwilą.

— Co to jest? co się stało? — pytamy obie z Kochaną panią, bo Katarzyna nie ma zwyczaju płakać bez przyczyny, jak to niekiedy grymasnym sługom się zdarza. I otóż dowiadujemy się prawdziwie smutnych dziejów. Przyjaciółka Katarzyny, która kiedyś dawniej służyła z nią razem, potem wyszła za mąż za rzemieślnika, przychodziła do niej przed chwilą i opowiadała, że jest w najokropniejszym położeniu. Mąż jej ciężko chory przeleżał kilka tygodni w szpitalu, nie miał więc przez ten czas zarobku, ona z trojgiem dzieci sama sobie radzić musiała i ledwo je od głodu uchroniła, pracując bardzo ciężko. Tymczasem nadszedł Nowy Rok, dla innych dzieci wesoły, dla nich biedaków dzień stra-

szny, bo oznaczał termin zapłaty komornego, a ani grosza nie mieli przy duszy. Możecie sobie wyobrazić, że te biedne dzieci nie dostały kolendy, nie marzyły nawet o czemś podobnym, wszystko, co tylko można było, wyprzedano i pozastawiano, ale to nie starczyło na komorno.

Nieszczęśliwa kobieta przypomniała sobie wówczas dawną przyjaciółkę Katarzynę, przysłała do niej, błagając, aby jej choć trzy ruble pożyczyła, bo inaczej, jeśli nazajutrz nie złoży rządca domu pewnej kwoty, do której brakło owych trzech rubli, wyrzucą ją na ulicę, na mróz i zimno, wraz z dziećmi i mężem, jeszcze bardzo osłabionym po chorobie. Katarzyna i sama nie jest bogata, prosiła jednak o trzy ruble ze swojej pensyi, które chciała tej biednej kobiecie pożyczyc.

— Chociaż nie wiem, czy ona nieboga będzie mogła kiedy ten dług oddać — mówiła, łzy ocierając, potrochę nad niedolą przyjaciółki, a po trochę i nad utratą swoich trzech rubli, bo dla niej taka kwota dużo znaczy.

Kochana pani w milczeniu skinęła na mnie, ja to skinięcie zrozumiałam, jednym susem byłam przy naszej skarbonce, podałam ją Kochanej pani i reszty domyślać się zapewne: Katarzyna nie potrzebowała naruszać skromnych swych funduszów i rozplakała się teraz z radości, gdy przywołana natychmiast przyjaciółka dostała, nietylko trzy ruble, brakujące do komornego, lecz drugie tyle na najpilniejsze potrzeby, a nadto trochę ciepłego ubrania dla dzieci.

Żebyście widziały, kochaneczki moje, uszczęśliwienie tej niebogi, gdy jej wytłómaczyłam, że to nie pożyczka, że nie potrzebuje się kłopotać zwróceniem tych pieniędzy, bo to dar pocziwych serduszek. Zaczęła mi dziękować gorąco i błogosławić, a ja wyjaśniłam, że nie mnie się należy wdzięczność i błogosławieństwa.

— Już ja się będę modliła za wszystkich — powiedziała wreszcie — a Pan Bóg sam najlepiej wiedzieć będzie, co się komu należy i łaskę swoją spuści na dobrodziejów moich.

I ja tak sądzę, Pan Bóg najlepiej obliczy dary wasze i odda za nie, „co się komu należy”, jak powiedziała w prostocie swojej ta biedna kobieta. Matka Łukaszka kaleczki, o którym wam pisałam kiedyś, dostała także trochę pieniędzy i ubrania na „gwiazdkę” dla dzieci, ale Madzia najwięcej się ucieszyła książeczką, a Łukaszek obrazkami. Dużo też innych biednych dzieci miało z łaski waszej choć troszkę radości na święta i pewna jestem, że każdy, kto o uboższych od siebie pamiętał, miał i sam weselsze święta.

Teraz copędzję przystępuję do pogawędki z temi przyjaciółczkami, które mię miłemi liścikami obdarzyły. Kulka śniegowa pisze tak „różowo”, bo i papier i atrament ma tego koloru, że aż mi w oczach zaróżowiało czytając. Ponieważ lubisz ślizgawkę, Kulko śniegowa, nie mogłaś sobie stosowniejszego wybrać pseudonimu. Powiadasz, że nie donoszę nic z nowin warszawskich; masz słuszność, Kuleczko, ale bo widzisz, nic jakoś teraz nie słyhać u nas ciekawego, a potem... jak się rozgamam z wami, nim każdej odpowiem, i miejsca zbraknie zawsze. Gosposiu z nad Warty! jakże ty możesz mówić, żeś mi jest nieznaną? A toż wszystkie korespondentki Kochanej pani są także i mojami znajomymi, a ty do stałych i kochanych korespondentek jesteś zaliczona. Mam nadzieję, że już te straszne błota u was zamarzyły i nie grzęzną w nich ludziska biedni. O, jakże słusznie mówisz, Gosposiu, czy może być większe szczęście, jak

mieć dobrych rodziców, którzy pieczą, dogadzają. Żebyż to wszyscy umieli to szczęście cenić, tak jak ty! Chcesz zmienić pseudonym, szkoda, ten taki ładny, ja ci ładniejszego wynaleźć nie potrafię, szukaj sama.

I ty, Bławatko z nad Horynia, nie jesteś obcą dla mnie, znam cię nawet z fotografii, którą przysłałaś kiedyś Kochanej pani, chociaż dużo od tej pory urosnąć musiałaś. O, jakże bym chciała obaczyć twoje gospodarstwo, te kurki, prosiaczki, cieleta i krówkę, pieska i kotka. Mylisz się, Bławatko, sądząc, że mieszkając w Warszawie nie znam i nie lubię wsi; przeciwnie, przepadam za wiejskiem gospodarstwem i pragnęłabym być gosposią taką, jak ty. Kochana Pani kazała ci powiedzieć, że powinnaś być bardzo wdzięczna rozumnej i dobrej swój mamie, która tak wcześniej pozwala ci praktycznie gospodarować, nie dla zabawy, i dochody własną pracą zdobywać. Piękny to przykład, wszystkie matki i córki naśladować go powinny, są to słowa Kochanej pani.

Droga ty moja Stokrotko z nad Stochodu, nie żądaj odemnie tego, czego w żaden sposób zrobić nie mogę, powiedz sobie, że czasem spełnienie życzeń... rozczarowanie przynosi, i ciebie to może spotkało. Skończyłaś, biedaczko, lat 15cie, to smutno, ale pociesz się i zapisz do cechu naszych staruszek, a mamy i starsze od ciebie osóbkę, które nie gardzą „Wieczorami”, pisują do Kochanej pani i do mnie. Czy pamiętasz Świteziankę, dawną, najdawniejszą podobno korespondentkę i przyjaciółkę Kochanej pani? Opisywałam wam kiedyś dla przykładu tę zawołaną gosposię wiejską. Wyobraź sobie, Świtezianka pozostała wierną „Wieczorom” aż... do wyjścia za mąż. Tak, doniosła nam o dniu swego ślubu i obiecała czytywać nasze Pisemko u młodszej siostrzyczki. Śliczny swój pseudonym Świtezianki odstępuje młodszemu czytelniczkom.

Śnieżycy i Krasnolico, jeżeli mnie choć troszkę kochacie, to chleb oddany, bo ja was bardzo serdecznie kocham, a broń Boże, nie za te dary jedynie, któremiście mnie obsypywały, chociaż.. kwiaty tak lubię, że może mimo wiedzy wpłynęły na moje uczucia, ja tam nie wiem, ale liściki wasze wielką mi radość zawsze przynoszą. Kanarek znowu narzeka na moje zadanie, że zatrudne, poczekaj, Kanareczku, niezadługo obmyślę łatwiejsze dla młodszych, a ty podobno do takich należysz, więc będziesz zadowolona. Ślizgawce dziękuję za śliczne listeczki paproci, przywiezione aż z Ojcową. Niezmiernie lubię wszystkie rośliny, nawet i zasuszone, mam pyszny zielnik własnej roboty. Lampa Błyskawiczna doprawdy ładną ma na swój wiek kaligrafią. Muszę ja kiedyś ogłosić konkurs kaligrafii i podług wieku wyznaczę nagrody. Wielka Zawierucha, (zapewne tylko z pseudonimu) także ładnie pisze, a powiem wam pod sekretem, że Kochana pani, która sama bardzo wyraźnie pisze, słabość ma do porządnej kaligrafii; zawsze też opowiada, jak dawniej kiedyś, szesnaście lat już mając, bazgrała okropnie i wyobraźcie sobie, postanowiła pismo swoje poprawić, a raz postanowiwszy, dokazała swego. Przez pół roku pisała bardzo powoli, dużemi literami, z pięknych wzorów, i tyle miała cierpliwości, że ani razu nie spróbowała nawet prędkiego pisania. Aż gdy zaczęła pisać tak pięknie, jak sztych, pozwoliła sobie prędkiej piórem machać. I cóż wy powiecie, charakter jej pisma tak się odmienił, że go nie poznano, jakgdyby inna osoba pisała. Pokazuje się, że dla chcącego nic tru-

dnego. Kto ma brzydkie pismo, niech popracuje troszkę, a zmieni je niezawodnie.

A teraz muszę was pożegnać, kochaneczki moje, chociaż gawędziłabym chętnie dłużej. Pamiętajcie o zadaniu konkursowem, dotąd niedużo jeszcze nadeszło odpowiedzi, ale wy przecież nie zrobicie zawodu waszej kochającej

Gołąbce pocztowej.

P. S. Gdy list ten dokończony, przepisany porządnie, (bo Kochana pani nie lubi bazgrania) odniosłam do redakcyi, zastałam tam ku wielkiej radości swojej kilka odpowiedzi na zadanie konkursowe z podpisami młodych panów 13-to, i 14-o letnicb. Młodzież mężka dotychczas niestety! rzadko kiedy do tych konkursów należeć chciała, lecz tym razem widocznie udało mi się wybrać przedmiot zachęcający. Panowie ci mają zawsze ochotę do samodzielności, pytanie moje przypadło im zatem do smaku, podając dobrą sposobność wykazania owego usposobienia i wypróbowania w przypuszczeniu przynajmniej upragnionej—samodzielności. Trzymajcie się dobrze, panienki, bo młodzi panowie wszystkie nagrody zabrają wam z przed noska.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Kiedy przeszedł napowrót bramę i znalazł się za mostem, gdzie go ów pazik ostatni odstąpił, znowu nad głowę posłyszał trąbę z wieży; obejrzał się na wszystkie strony, aby znaleźć powód owego trąbienia, i poniżej góry dostrzegł poczet myśliwych, tłumnie i szumnie wysuwający się z lasu.

Na czele jechało dwóch mężów ogromnych, wspaniałych, jeden w czerwonym, drugi w białym płaszczu; kaptury od nich, nasunięte na głowę, zaokrąglają się z tyłu swoim nieodzownym sznurem, jakby jakimś uchem od dzbana. Wiatr czasem igrał z połami płaszczów, a wtedy można było rozeznąć uzbrojenie jeźdźców; u lewego ich boku świeciły miecze długie, szerokie, z rękojeścią w krzyż, u prawego wisiały kołczany, złocistemi ćwiekami nabijane, głębokie i pakowne, ale w tej chwili próżne; polowanie musiało być obfite, kiedy je ze wszystkich strzał ogołociło.

Widocznie to sam pan zamku powracał z jakimś znacznym gościem.

Za nimi jechali dwaj giermkowie, trzymający pańskie włócznie i łuki, dalej niezliczeni strzelcy i oblawnicy, w kozuszkach i włochatych skórach różnych zwierząt; jedni mieli proce, topory, długie noże, inni proste oszczepy w ogniu osmalone. A co psiarczyków, prowadzących pstre, zziąbane sfory! A co ptaszników z sokołami! Było ich tak wielu, że pierwsi już zaczęli wstępować pod górę, kiedy ostatni dopiero wyjeżdżali z kniei.

Pielgrzym nie miał wielkiej ochoty spotykać się na wązkiej drożynie z tyloma konnymi, co mogli go stratować, albo strącić, tem bardziej, że ciężko był obładowany. Postanowił zejść z góry inną stroną, i szukając jakiejkolwiek ścieżki, zaczął krążyć wokoło zamku.

Znagła dosłyszał jakieś łkanie, jakby gwałtowny płacz niewieści. Przystanął, nasłuchując, z kąd ów głos pochodził? Wyraźnie szedł z głębi zamku.

Ciekawość go tknęła; wstąpił na wierzch wału, i przy czajony pod krzakami, zaczął wzrokiem wodzić po murach które tuż za rowem sterczały. Teraz poznał: głos płaczący pochodził z okna wązkiego, wysokiego, co się rysowało w najgrubszej części murów. Okniennica była otwarta, pielgrzym, dobrze wpatrzwszy się w kratę, mógł z łatwością

rozeznąć wewnątrz. Co zobaczył? Temu z razu prawie nie mógł uwierzyć. Było to właśnie okno od tej samej sali, w której go przyjęto, z której przed chwilą wyszedł; jeszcze w głębi na kominie ogień dogorywał. Pod oknem, we framudze, obie „dobrodziejki” siedziały na owych krzesłach, podobnych do tronów biskupich, ale jak siedziały? A mój Boże! Ludmiła oparła głowę na piersiach Elżbiety i zanosiła się od płaczu; tamta starała się ją uspokoić, jednak ciężko jej to przychodziło, bo i z jej oczu łzy perliste spadały, i u niej piersi biły, jak u wylęknionego ptaka. Ich rozmowa, pełna wzdychań i przytłumionych wykrzykników, co chwila to rwała się, to wybuchała, aż oto z głębi komnaty huknęło jakieś trzaśnięcie, jakby kto nagle drzwi roztworzył, a rozslochane panie zerwały się i znikły w głębi sali, z której odtąd już tylko gwar niezrozumiały dochodził.

Pielgrzym, poczekawszy jeszcze chwilę, oddalił się z wielkim podziwieniem.

— Co to wszystko znaczy? — myślał sobie. — Czem te białogłowy mogą się tak okrutnie martwić? Bo gdyby to jeszcze pan zamku się troskał, mniejsza byłaby dziwota, on ma wiele na głowie, tu król woła, tam nieprzyjaciel grozi. Ależ one? Wszyscy myślą o ich obronie, o ich wyżywieniu, o ich zabawie. Czegoż w świecie może im braknąć? Oto pewnie pan małżonek odmówił jakiego klejnotu, albo rycerz zgubił wstęgę panny, a te zaraz, jak to białogłowy, w płacz. Uważałem ja już, bawiąc między niemi, że nie umieją cenić darów Bożych. Zacne, hojne, śliczne, to prawda, ale cóż po wszystkim, kiedy smutne? Już mi się to zaraz niepodobalo, że mnie częstowały. a same nie jadły; ludzie prawdziwie gościnni tak nie robią. A przytem i słuchać nie umieją tak dobrze, jak to zwykle słuchają białogłowy. Nieraz w najciekawszych miejscach, kiedy innym ledwie oczy z głowy nie wylazły, one patrzyły w ziemię, jakby mnie tam nie było. A przecież mi się udało kilka takich wybornych, krotochwilnych słówek! Owa stara niewiasta, i sam kapelan, i wszyscy, aż brali się za boki, a one? Żeby się choć raz jeden szczerze roześmiały! To źle. Smutek w takiej pomyślności, to grzech, to niewdzięczność względem Pana Boga. Ohol! Żeby spróbowały jeden dzień przeżyć w mojej skórze, nie brałyby do serca lada fraszki. Szczęście je popsuło, oto cała rzecz.

Tak mądrze sobie wytłómaczywszy sprawę, pielgrzym ruszył ramionami i chciał o niej zapomnieć, ale nie mógł. Już napowrót wszedł w ciemne lasy, już dzwonił do furty klasztornej, a jeszcze sobie powtarzał:

— Jak mi Bóg miły, nie rozumiem czego te białogłowy płaczą?

Na tem kończy się ów przepyszny prolog, przedstawiający nam dwie główne bohaterki powieści in tak uroczeniem oświetleniu, że z zajęciem najwyższem wyglądamy dalszych wiadomości o losach tych pań, a przedewszystkiem pytamy wraz z pielgrzymem, jaka może być przyczyna ich smutku? Bo że nie płaczą ze zbytku rozkoszy, z grymasów jedynie, że zasługują na współczucie, tego zapewne domyślają się czytelnicy. Dostatki nie zawsze dają szczęście niczem nie zamącone, pod kwiatami nieraz kryją się ciernie.

Do niedawna jednak nic nie zakłóciło spokoju i pomyślności na zamku szlchetnego rycerza Sulisława z Zegnańca. Był to mąż zacny, bez zarzutu, krzywdy ludzkiej nie miał na sumieniu, chociaż w owych czasach różnie bywało pomiędzy możnymi panami, którzy nawykli siłę ważyć przed prawem. Nie miał jednak Sulisław nazbyt miękkiego serca, był tylko ściśle sprawiedliwym, nie znał pobłażliwości, to też i miłości ludzkiej zaskarbić sobie nie umiał, surowością swą budził poszanowanie z przestrachem graniczące. Lecz nawet i ten mąż spiżowy zmięknąć musiał, gdy przywiózł na zamek młodziutką małżonkę, piękną, słodką, anielską Elżbietę. Nie wyobrażajmy sobie, aby młoda pani jawnie i z rozmysłem wpływ wywierała na rycerskiego męża; o nie, w owych czasach białogłowa tak zuchwałych myśli nie żywiła w sercu, zadaniem jej była uległość, cnotą najwyższą pokora, a pani Elżbieta była istotą cichą, łagodną i potulną. Mąż ani się domyślał tego, że ulegał wpływom niewieści.

„Jednakże ulegał. Jak się to działo? Trudno było zrozumieć, bo Elżbieta wydawała się istotą łekliwą, zahukaną, zajęta jedynie pełnieniem woli męzowskiej. Usta jej nigdy nie wymówiły słowa chcę. Była w niej słodycz nie z tej ziemi, słodycz ducha czystego, co czuje się wyższym nad ludzkie gniewy i groźby. To też wkrótce otoczyła się jakąś atmosferą anielską, w której bezwiednie wszystkie serca miękły. A przytem powoli mąż odkrywał w niej coraz szacowniejsze zalety: rządność niewiasty biblijnej, co domowi niemało przyczyniało dostatku i ozdoby; wykształcenie godne królowny, bo nietylko słyneła z biegłości w najcudniejszych kobiecych robotach, ale umiała czytać z książki; kto wie, czyby się i wypisać nie umiała! Nakoniec odkrył w niej dziwną trafność sądu, nawet w sprawach obcych niewieście. Nikt się nie domyślał, że ta niema istota może mieć własne

bowiem budzą chciwość i zawiść ludzką. I wielkie dziedzictwo Ludmiły wywołało uczucia podobne w sercach rodzonych jej stryjów i opiekunów po śmierci rodzica. Z trzech braci najstarszy tylko, ojciec Ludmiły, był rządny, nie tracił majątku, lecz przeciwnie ustawicznie go przysparzał i niezmiernie skarby nagromadził w ziemi i funduszach pieniężnych. Dwaj młodszy wiedli życie marnotrawne, przyjaźnili się z księciem Konradem Mazowieckim, niezbyt dobrej sławy używającym, ustawicznie też o pomoc udawali się do starszego brata, który nie odmawiał, hojnie ich obdarzał, nie żałując przytem upomnień ojcowskich. Przeznaczenie zrządziło, że brat ten najstarszy utracił kilku synów, pozostała mu tylko córka jedynaczka Ludmiła, na nią też przelał całą miłość serca swego, a umierając, zapisał jej cały majątek, chociaż w owych czasach najczęściej dziedzictwo szło po



Szarańcza.

zdanie, ale zapytana, zawsze odpowiedziała jakby król Salomon, tak, że mąż już nieraz potajemnie zasięgał jej rady i zawsze na tem dobrze wyszedł”.

Pan na Zegnańcu pędził życie ciche i odosobnione, nie uczęszczał na dwór królewski, gdyż dumny był niezmiernie ze swego rodu, Piastom zaledwie ustąpiłby pierwszeństwa, a z innymi magnatami, którzyby się nad niego wywyższać chcieli, nie lubił się spotykać. Lecz pani Elżbieta nie tęskniła do życia światowego, miłowała nad wszystko synka swego Jasia i czuła się zupełnie szczęśliwą.

Ciche to szczęście zakłóciło dopiero przybycie na zamek Ludmiły, owęj łowczyni uroczej, o której wiemy tylko tyle, że była sierotą i dziedziczką bogatych włości. Czemże to młode, niewinne dziewczę mogło zasmucić Elżbietę? Ach! Ludmiła udzieliła jej tylko własnego smutku, bo pomimo urody, bogactwa i tylu szacownych darów, które w przekonaniu powszechnem powinnyby pomyślność doczesną zapewnić, sierota była bardzo nieszczęśliwą i dobra, tkliwa Elżbieta płakała wraz z nią nad jej smutną dolą.

Nie zawsze bogactwa zapewniają szczęście, częstokroć

mieczu. Panujący w Krakowie Leszek Biały potwierdził to rozporządzenie, nie mogli więc stryjowie zaprzeczyć praw synowicy, lecz w głębi duszy niechęć wielką do niej powzięli.

Sulisław z Zegnańca miał brata rodzzonego Zyndrama z Czarną Rudą; ten jednak tak niepodobny był do niego, jak niebo do ziemi, jak Kain do Abla. Zyndram posiadał ogromny majątek, lecz zebrał go krzywdą ludzką, lichwą, rabunkiem, tajemnymi, podejrzanymi sposobami. Zeszli się z nim stryjowie Ludmiły i potrafili wyjednać pożyczkę znacznej sumy pieniężnej od niego. Pożyczyć łatwo, lecz gdy przyszło do oddania, marnotrawcy nie byli w stanie zebrać funduszów potrzebnych, chociaż mieli teraz ogromne dochody z majątności Ludmiły, które zarządzali, jako opiekunowie sieroty. Ale Zyndram był wdowcem i zasłyszawszy o piękności, a zwłaszcza o bogactwie sieroty, przyrzekł stryjom, że jeśli otrzyma jej rękę, nie będzie się o dług upominał.

Nic nie mogło być dla nich bardziej pożądanego. Nie byli tak występni, by odważyli się zamordować synowicę dla zagarnięcia spadku po niej, lecz sprzedać ją za dług wyda-

SZARAŃCZA.

wało się im rzeczą arcywygodną. Dla ułatwienia i przyśpieszenia sprawy, odebrali Ludmiłę z klasztoru p. p. Norbertanek w Witowie i zawieźli ją na zamek Sulisława, rodzzonego brata Zyndrama, oddając pod opiekę zacnej jego małżonki Elżbiety, tam bowiem Zyndram mógł ją widywać bez przeszkody.

Sulisław przez szpary patrzył na postępowanie brata, niezbyt dowierzał niekorzystnym pogłoskom o nim, więc ucieszył się szczerze, gdy mu zamiary jego co do małżeństwa z Ludmiłą wyjawiono i obiecał ze swęj strony pomagać do tego najszczerzej. I tak los sieroty został postanowiony stanowczo, a nikomu nawet na myśl nie przyszło zapytać jej samęj, czy się na to zgadza. W owych czasach nie było zwyczaju, aby dziewczęta stanowiły o swęj przyszłości, od tego byli rodzice, a w braku rodziców opiekunowie i starsi.

Opowiadaliśmy niedawno czytelnikom naszym o szarań- czy, która straszliwe spustoszenia wyrządza w Algierze. Oto znowu niedawno dzienniki donosiły, że szkodliwy owad w przerażający sposób się tam ciągle mnoży i już nietylko zboże niszczy, lecz zastrzymuje pociągi kolei żelaznej. Zdarzyło się bowiem parę razy, że wagony nie mogły się poru- szać, lub co gorsza wykolejeniem groziły, gdy niezliczona ilość szarańczy grubą warstwą zaległa szyny, całkowicie je pokrywając.

Rycina dzisiejsza wskazuje, w jaki sposób samice skła- dają jajka w ziemi, zabezpieczając je doskonale od wilgoci i wszelkiego uszkodzenia. Jajka leżą przez dziewięć mie-



Król afrykański.

Ale Ludmiła nie była zwyczajną dziewczką, potulną bierną. Matkę straciła w niemowlęcych latach, ojciec mi- łował gorąco jedynaczkę, która mu utraconych synów zastę- powała i wychował ją trochę po męsku. Od dzieciństwa uczyła się harcować na koniku, łuk naciągać, strzelać do zwierzyny, brać udział w grach i ćwiczeniach rycerskich. Wyrobiło to w nięj hart ducha i siłę woli, nie miała też wca- le ochoty poddać się bez oporu przemocy, którą stryjowie jej zagrozili. Wkrótce po jej przybyciu do Żegnańca przybył sam Zyndram, ażeby bliżej poznać narzeczoną, której nawet nie widział jeszcze. Bogata dziedziczka podobała mu się bardzo, prosił więc brata starszego, ażeby był jego dziewo- słębem. Sulisław spełnił z radością to zlecenie, lecz jakież było zdumienie jego, gdy Ludmiła z płaczem i oburzeniem odrzekła, że ona nie chce tego męża, narzuconego jej gwał- tem. Było to coś tak niesłychanego, że Sulisław uszom wła- snym nie wierzył, a nawet i Elżbieta starała się nawrócić do uległości krnąbrną dziewczkę.

(d. c. n.)

sięcy w swych ochronnych pokrowcach, potem małe liszki wylęgle szybko rosną, owad z początku wychodzi z nich bez skrzydeł i podskakując po ziemi odbywa swoje wę- drówki. Później dopiero wykształca się zupełnie, dostaje skrzydeł, wówczas ulatuje w powietrze i nieraz wędruje pra- wdziwemi chmarami, które słońce przysłaniają, jakby ciemny obłok.

KRÓL AFRYKAŃSKI.

Wspominaliśmy już nieraz w „Wiecz. Rodz.” o słyn- nym podróżniku francuzkim, zapewne też nazwisko jego, Sa- vorgnan de Brazza, nie jest obce dla naszych czytelników. Umiął on sobie zjednać przyjaźń krajowców, a jeden z króli- ków ich, nazwiskiem Makoko, przyjmował go na dworze swoim z wielką paradą. Muzyka murzyńska, niezbyt przy- jemne wydająca dźwięki, grzmiała na cześć białego podró- żnika, potem odbyła się wielka narada, zwana „palawrem”.

Rysunek nasz przedstawia właśnie ów „palawr”, widziec Francuza w mundurze, siedzącego na paradnej ławie, niby na tronie, obok monarchy afrykańskiego. Wszyscy inni dostojnicy dworscy, a nawet niższego rzędu panujący, zbliżają się na kolanach do osoby wielkiego Makoka, białemu gościowi jego także hołdy pokorne składają, podanie ręki i różne ceremonie, oznaczają przysięgę przyjaźni. Za tronek, także w postawie klęczącej, małżonki króla obecne są posłuchaniu, chociaż nie mieszają się do niczego, jedynie dla parady występują w orszaku dostojnego małżonka. Widok to dla nas śmieszny, ale i smutny zarazem. Biedne te królowe nie czują swego upokorzenia, przywykły do tego i wydawałoby się im dziwną rzeczą, gdyby je traktowano inaczej.

RORATY.

Wszyscy katolicy wiemy, że tak się nazywa ranne nabożeństwo w czasie Adwentu, nazwa ta pochodzi od hymnu łacińskiego, zaczynającego się od słów: „Rorate Coeli”. Otóż mnie przypomina ono także zdarzenie szczęśliwe dla jednego z moich kolegów szkolnych, niedawno zmarłego senatora P., który mu zawdzięczał, jeśli nie los swój, to początek świetnej kariery. Że na grzeczności, uprzejmości, jak i na każdym dobrym uczynku nikt nigdy nie stracił, a nieraz wiele zarobić można, najlepszym tego dowodem niniejszy epizod z życia senatora P. powzięty. Grzeczność, ta cecha prawdziwie cywilizowanego, dobrze wychowanego, o sercu szlachetnym człowieka, jedna nam serca i względy bliźnich. Jakże niedorzecznie postępuje ten, co mogąc być miłym, uprzejmym, okazuje się nieobyčajnym gburem.

Oleś P., z którym kolegowaliśmy przez wszystkie klasy, był bardzo biednym chłopcem. Syn byłego wojskowego niższych stopni, który potem został przy trybunale woźnym, gdy ojciec umarł, ledwo że miał na najskromniejsze utrzymanie, żywiąc się przy matce, która pobierała szczupłą, bo sto rubli nie przynoszącą emeryturkę. Mimo to chłopak szlachetnie ambiłny nigdy nie żebrał, o nic nikogo nie prosił, ani nie wyzyskiwał litości niczyjej. Podczas kiedy na przerwie odpoczynkowej inni zamożniejsi opychali się ciastkami, serdelkami, bułkami, on nie zawsze z kieszeni kawałek chleba dobywał, przechadzał się gwizdając, a latem szedł do źródła napić się wody, nigdy, choć mu ofiarowywano nieraz, nie przyjmując nic od innych, dając za przyczynę, że nie może im się wywzajemnić, albo, że ubogi nie powinien się przyzwyczajać do łakotek, na które mu nie stać. Tak samo jego odzież była wytarta, nicowana, farbowana, ale zawsze cała i czysto utrzymana, świadczyła o jego zamiłowaniu we wszystkim do porządku, a reputacja, że Oleś nigdy nie skłamał, najdrobniejszej bagatelki cudzej nie dotknie, nie ruszy, stawiła go ponad wielu od niego bogatszych wyżej i czy u profesorów, czy pomiędzy kolegami, uważany był za wzorowego ucznia.

Z biedą, co go cisnęła, pasował się jak mógł w rozmaity sposób. Wpis był wprawdzie mało znaczący, *) ale za to o korepetycyę trudno, uczniowie najzamożniejszych domów starali się bez nich obchodzić, nietylko dla oszczędności, jak dla tego, że je uważano za dowód słabości głowy, jakby umysłowego niedołęstwa; korepetytorów brano jedynie do dzieci chorowitych, i to klas najniższych. Oleś zatem pomagał sekretarzowi gimnazjalnej kancelaryi, przepisywał nuty, kalikował organieście, do Mszy służył, pisywał tym, co tego nie umieli, powinszowania, listy, pozwy, byle coś zarobić. Ale zima pewnego roku okazała się szczególnie ciężką dla niego, między dziećmi panowała szkarlatyna, przez co

dwie korepetycyę mu odpadły, silne mrozy wymagały dużo więcej opału, przytem zachorowała mu najdroższa matka, a ratować jej czem nie było.

Biedny Oleś zaczął już tracić głowę, w tem położeniu przechodząc pewnej niedzieli obok kościoła usłyszał śpiewane Roraty, wstąpił więc tam, aby się pomodlić do Tego co na wszystko daje sposoby, pomoc i najtrudniejszej rzeczy da radę. W Warszawie wówczas przy klasztorze panien Wizytek mieszkała Księżna L. staruszka, która dzieci popostanawiawszy, majątek im oddawszy, osiadła jak nazywano tu na „dewocyi.” Pomimo dziesięciu tysięcy rubli rocznego wymówionego dożywocia, żyła jaknajskromniej. Jadała to, co jej przyniesiono ze stołu zakonnice, nigdy nie chciała trzymać powozu, mówiąc: „Chrystus Pan piechotą, boso po świecie, choć Syn Boży chodził” a ubrana w czarną salopę, z zieloną umbrellką, zupełnie wyglądała na babinkę, co po kruchtach kościelnych zebrze miłosierdzia.

Za taką ją biorąc, Oleś, który jej nie znał i nie widział nigdy, spotkał na wyjściu z kościoła N. M. Panny na Nowem-Mieście. Ślisko niesłychanie było, tak, że i młodym trudno było utrzymać się, by nie upaść na gołoledzi; widząc słabość sił staruszki i zakłopotanie, podsunął się, zawsze dla ludzi wiekowych uważny chłopak, ile że sobie przypomniał chorą w domu matkę i ukłoniwszy się ofiarował się za podporę nóg, zwątlonych ośmdziesięciu latami życia. Staruszka księżna, przebrana za ubogą dewotkę, z uśmiechem przyjęła jego pomoc, drobnym krokiem postępując, miała czas wypytać się Olesia o jego nazwisko, pomieszkanie, mówiąc, że przyjdzie, jeśli jej zdrowie pozwoli, sama podziękować jego matce, że tak dobrze wychowała syna.

Wtem wygalonowany lokaj księżnej Teresy J. jej córki podbiegł ku nim z oświadczeniem, że karetka na księżną matkę czeka. Tak zawsze robiła kochająca córka, gdy sądziła, że pomoc karety osłabionej wiekiem matce, upierając się, aby chodzić piechotą, potrzebna. Oleś zdumiał, dowiedziawszy się, komu pomógł wyjść z kościoła, jeszcze bardziej był zdziwiony, gdy staruszka, żegnając go, rzekła:

— Bóg ci zapłać, chłopaczkę, za twoją dobroć; kto starych szanuje, będzie miał łaskę Boga, a łaska Boża ze wszystkich to rzecz najpewniejsza. Wszak dobrze pamiętam, matka nazywa się Agata P., mieszkanie ulica Zajęcza N-r. 76; jutro a może dziś sama u niej będę.

Oleś brał to za słowa zwykłej grzeczności wielkich pań, w ogóle obojętnych na niedolę cierpiących, przeto, że o biedzie ludzkiej nie mają nawet wyobrażenia dobrego. Lecz powróciwszy do domu, po załatwieniu swoich interesów zawsze mnogich dla człowieka, co ciężkie życie prowadzi, dowiedział się od matki, że już staruszka księżna u niej była; przywozła z sobą doktora nadwornego księżnej córki, a dla lepszego chorój dozoru, sprowadziła Szarytkę.

Odtąd stara księżna na chwilę nie wypuściła z swęj opieki Olesia; gdy skończył szkołę, wyjednała mu u swego zięcia, który był prezesem Heroldyi, małą posadę na 180 rubli rocznie. Ta skromna posadka była jednak pierwszym szczeblem wysokich godności, do których doszedł zdolnością i pracą.

Drogi, któremi przebiegniemy życie, są dla nas zupełnie zakryte, tajemne; może gdyby Oleś nie był spotkał staruszki, którą wziął za żebraczkę, nie byłby zrobił dzisiejszej kariery. Ale wielki gościniec prawdy i obowiązku przed wszystkimi zarówno otwarty. Byłe go się trzymać, nie schodzić na bok i na manowce fałszu, kłamstwa, blagi, zawsze choć zwolna, pomału, do nagród przeznaczonych cnocie i uczciwości dochodzimy.

Wielisław.

*) Wtedy dwanaście złotych na rok.

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Janek wstał wcześniej jeszcze niż zwykle, matka przyspieszyła dla niego godzinę śniadania, i chłopiec tak się uwinął, że był już na ścieżce, wiodącej przez las do osady Burtonów, gdy zaledwie pierwsze promienie słońca pojawiły się na wschodnim krańcu widnokregu. Przygotowania do tej wyprawy zawczasu były załatwione. Na parę dni przedtem p. Gedney wylał sam z ołowiu dostateczny zapas kulek, napełnił rogi prochem, więc z amunicją nie było żadnego kłopotu. Zresztą w osadzie z tego względu nigdy brak się czuć nie dawał, bo p. Gedney nie oddał się na krok od domu bez broni nabitą, a odtąd i Janek miał także nosić wszędzie przy sobie nową, piękną strzelbę wraz z krzesiwem. W tych czasach nie znano jeszcze dzisiejszej wydoskonalonej broni palnej, nie znano też i zapalek. Oprócz myśliwskich przyborów, chłopiec miał w torbie, przewieszonej przez plecy, kawał chleba i trochę soli z pieprzem zmieszanej, owiniętej w papierek. Przyprawa ta przeznaczona była do nadania wykwintniejszego smaku zwierzynie, którą młodzież zamierzała się żywić podczas swęj wędrówki.

Janek szedł żwawo i wesoło tą samą drogą, którą przebywał dnia poprzedniego; gdy doszedł do owego mostku, gdzie zabił dwie pantery, przystanął na chwilę i poszukał oczyma szczątków drapieżnych zwierząt. Nigdzie ich jednak dopatrzyć nie mógł, woda zapewne uniosła je przez noc daleko. Ale na pnium nadbrzeżnego drzewa pozostały ślady zębów samicy, która przed skonaniem wściekle się rzucała i gryzła, co tylko uchwycić mogła.

— No no, co to za ząbki — rzekł chłopak, oglądając z uśmiechem zadowolenia te ślady — nie chciałbym się na nie popaść. Wcale nieźle jednak się sprawiłem z tą miłą parą; o! musieli oni oboje ostrzyć na mnie te ostre swoje ząbki, szczęście, że im się nie udało.

Po drugiej stronie strumienia rozciągała się przestrzeń bagnista, na miękkim, wilgotnym gruncie, każde najłżejsze dotknięcie stopy, czy ludzkiej czy zwierzęcej, odciskało się i pozostawiało ślad wyraźny. Janek spostrzegł tam najprzód ślady własnego obuwia, dnia poprzedniego odcisnięte, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy obok nich obaczył inne, znacznie większe, a poznał w nich odrazu odciski tak zwanych mokasenów, obuwia krajowców Indyan; ślady były świeże, chłopiec pamiętał doskonale, że ich tu jeszcze dnia poprzedniego nie widział, niezawodnie więc z tej nocy pochodziły.

— Oho! — zawołał, obejrzawszy starannie ślady — dzicy muszą być gdzieś niedaleko. Ciekawym bardzo, co to za jedni, czy Szawnisy, czy Huroni, Wyandoci, albo Potawatomisy, i poci oni się tu włóczą w naszych stronach? Może chcą zapolować na zwierzynę, a może na skalpy.

Sądzić zapewne, że Janek, zaniepokojony tem odkryciem, natychmiast powrócił do domu i dał znać ojcu o niebezpieczeństwie; gdyż obecność Indyan w okolicy stanowiła dla białych mieszkańców groźne niebezpieczeństwo. Ale naszemu chłopcu do głowy to nawet nie przyszło; wybrał się na polowanie, czyż gromadka Indyan, włóczących się po lesie, miała mu popsuć spodziewane przyjemności? Młody myśliwiec zauważył, że mokaseny zwracały się na wschód, to jest w tę samą stronę, w którą on dążył.

— Może ich już widzieli w osadzie Burtonów — mówił Janek, śpiesznie puszczając się w dalszą drogę — czasem przecież Indyanie bez żadnych złych zamiarów wstępują do mieszkań białych ludzi, prosząc o posiłek lub inną drobną przysługę.

Janek szedł dalej, a wtem usłyszał nagle chrzęst łamiących się gałęzi i wprawmem uchem rozpoznał odrazu, że

to zwierz jakiś, uciekając przed pogonią, przedziera się przez gąszcze leśne. Po chwili piękny, okazały rogacz wynurzył się z zarośli i biegł pędem po odsoniętej polance wprost przed oczyma chłopaka, o sto kroków zaledwie od niego. Rozumie się, że Janek nie tracił czasu, w téjże chwili pochwycił strzelbę z ramienia, wymierzył, obierając miejsce środkowe pomiędzy łopatkami zwierzęcia; tym sposobem kula najłatwiej dostaje się do serca.

Strzał rozległ się donośnie wśród ciszy leśnej, rogacz jednak pędził dalej, coraz potężniejsze susy sadił, jakgdyby wcale nie był raniony. A wtem nagle uderzył się o pień drzewa, zapewne wzrok już miał zamglony i nie widział téj przeszkody, odbił się od niej tak, jak piłka gumowa i wówczas dopiero padł martwy na ziemię. Janek chciał w pierwszej chwili poskoczyć i podnieść swoją zdobycz, lecz wnet przypomniał sobie przestrogi ojca, więc najpierw nabił strzelbę nanowo i zawiesiwszy ją na ramieniu, zbliżył się śpiesznie do zabitego kozła. Oczy młodego myśliwca zajaśniały radością, gdy go obejrzał zblizka.

— Co to za pyszne zwierzę! — zawołał i pochylając się nad kozłem, przypatrywał się rozwartéj ranie, z której sączyła się krew strumieniem czerwonym. A wtem nagle z gęstwiny leśnej wyskoczył Indyanin, zatrzymał się po drugiej stronie zabitego kozła i pochwycił go obiema rękami, jakby prawowitą swoją własność.

Podczas gdy zwierzę przewracał, Janek spostrzegł strzałę, tkwiącą w boku rogacza, niedaleko od miejsca, gdzie kula jego trafiła. Oczywiście jednak strzała uprzedziła kulę; jeżeli była zatruta, a takich zazwyczaj używają Indyanie, cios ten był niezawodnie śmiertelny. Niewątpliwie też strzała Indyanina wypłoszyła kozła z lasu, gdy pędem przebiegł odkrytą polankę.

— On teraz zechce sobie tę zdobycz przywłaszczyć — myślał Janek — ale nie jestem pewny, czy ma do niej słusne prawo. Rogacz biegł tak żwawo i tak dobrze się trzymał, nie wyglądał bynajmniej na ugodzonego śmiertelnie, gdyby go moja kulka nie powaliła, możeby jeszcze coraz dalej pomykał. Zobaczmy, co z tego będzie, ale to pewna, że nie dam sobie wydrzeć bezprawnie zwierzyny.

Z przyjemnością niemalą spostrzegł Janek, że współwodnik jego był młodym chłopakiem, zapewne w równym z nim wieku lub mało co starszy. Z takim zawsze łatwiejsza była sprawa, aniżeli z dorosłym czerwonoskórym wojownikiem. Chłopiec ten indyjski miał na sobie, według narodowego zwyczaju, strój obcisły ze skóry jeleniej, wyszywany kolorowemi sznurkami i ozdobiony frenzlami podobnemi; na głowie pióra sterczące wysoko, a na nogach mokaseny, obuwie z miękkiej skóry, sznurkami związane. Szyję jego zdobił naszyjnik z dużych, jaskrawych paciorków, na plecach zwieszał się pęk strzał, za pasem zatknięty był nóż myśliwski, a w rękę trzymał duży łuk.

Twarz jego miała barwę miedzianą, policzki wydatne, oczy małe, ale błyszczące jak węgle rozpalone, nos długi, orli, włosy czarne, spadające na ramiona, wszystko to nadało mu cechy odrębne, wspólne tym licznym plemionom, zaludniającym puszcze i stepy amerykańskie. Dodajmy jeszcze, że twarz młodego chłopca, szyja i ręce, pomalowane były jaskrawymi farbami w różne dziwaczne desenie, co mu nie przyczyniało wcale wdzięku, lecz przeciwnie szpeciło rysy jego i czyniło je prawie potwornymi.

Janek odrazu, na pierwszy rzut oka po stroju poznał, że chłopak, którego miał przed sobą, należał do plemienia Wyandotów, nieraz już wojowników podobnie umalowanych i ubranych widywał. Młody Indyanin widocznie także przeczuwał, że białe dziecko zechce zabitego kozła za swoją własność uważać, lecz nie przypuszczał, aby miał odwagę z nim kłótnią rozpocząć. Chcąc zapewne uprzedzić wszelkie nieporozumienia, chwycił zdobycz obiema rękami, jak wspominaliśmy wyżej, a zwracając się do Janka, zawołał głośno i z wielką stanowczością po angielsku:

— Zwierzyna moja, bo ja ją zabiłem.

— Strzelałeś do niej — odrzekł spokojnie Janek — widzę to, ale zabiła ją moja kula.

Mówiąc to, wskazał ranę głęboką, z której krew sączyła się dotąd obficie. Indyanin w milczeniu popchnął swoją strzałę dalej i wyciągnął ją z drugiej strony, przebiwszy na wylot bok rogacza. Strzały są zazwyczaj tak urządzone, że zahaczają się mocno w ciele, do którego wchodzą i nie mogą być wyciągnięte w odwrotnym kierunku. Strzałę wydobytą chłopiec otarł liściem i włożył napowrót do wiązki, którą miał na plecach, a załatwiwszy się z tą robotą, powtórzył po raz drugi wolno i dobitnie:

— Zwierzyna moja, bo ja ją zabiłem swoją strzałą.

Janek czuł doskonale, że ostrożność nakazywała unikać kłótni z młodym Indyaninem; zwierzyna wprawdzie była piękna, ale mógł przecież napotkać w lesie nie mało podobnych kozłów. Zresztą i czasu szkoda tu było marnować, wiedział, że młodzi Burtonowie niecierpliwie go wyglądają, jemu także śpieszno było wyruszyć na walną myśliwską wyprawę. Nie miał nawet coprawda wielkiej ochoty dźwigać teraz owego ciężkiego rogacza, byłby go odstąpił bez żalu młodemu Indyaninowi, gdyby go uprzejmie o to poprosił. Ale wejście w położenie naszego chłopca: nie chciał uchodzić za tchórza, a pewny był, że Indyanin za takiego będzie go uważał, jeżeli ustąpi odrazu i odejdzie, jakby uciekał przed nim. Nie było przecież żadnej pewności, że strzała zraniła śmiertelnie zwierzę, obaj współzawodnicy mogli więc rościć prawo do tej zwierzyny. Janek w żaden sposób nie mógł tego przenieść, ażeby jakiś chłopak umalowany miał mu z taką stanowczością wolę swoją narzucać i upokarzać go bezkarnie. Postanowił więc praw swoich bronić do ostatka i nie ustąpić bez oporu.

(d. c. n.)

Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

Kochane współczelniczki! Czytając nieraz w „Wieczorach Rodzinnych” korespondencye panienek, zwiedzających różne piękne i pamiętne miejsca w naszym kraju lub zagranicą, wyznaję, że niekiedy uczuwałam zazdrość, bo niestety! marzyć dzisiaj nawet nie mogę o żadnej dalekiej podróży, a okolica, gdzie się urodziłam i dotąd pędzę życie, jest mi światem. Długo, długo myślałam, czemuż można sobie zastąpić i powetować przyjemność podróżowania. Naraż błysnęła mi myśl jasna i szczęśliwa, którą śpieszę się podzielić z wami. Mówię tu głównie do was, kochane przyjaciółki, co równie jak i ja nie możecie używać kosztownych rozrywek, a więc i o podróżach myśleć nie możecie. Tę przyjemność może nam zastąpić nauka geografii, historii i przyrody, czytanie pięknych książek, opisujących cuda przyrody i dzieła sztuki, równie jak zwyczaje i obyczaje obcych narodów, które dadzą nam poznać świat i jego mieszkańców. Przez nie możemy nawet zbadać tajemnice zawarte w głębi ziemi, lub bujać po przestworzach niebieskich i badać gwiazdy, tam rozsiane. Na skrzydłach myśli i wyobraźni możemy się unosić w najdalsze krainy, odtwarzać przed oczyma duszy najpiękniejsze i najwspanialsze widoki, bujać nawet nad ziemią. Lecz jeszcze na tem nie koniec. Jeżeli oświecimy nasz umysł, uszlachetnimy serce i sposób myślenia, zamilujemy nasze obowiązki, to skromny zakątek, przez nas zamieszkały, zamieni się w rozkoszną krainę, pełną serdecznego ciepła i słonecznej pogody. Wolno nam będzie ustroić

ją w kwiaty miłości i poświęcenia, oświecić wiedzą i zapełnić najdroższymi pamiątkami. A wtedy nie będziemy potrzebowali zazdrościć podróżniczkom, zwiedzającym i oglądającym dalekie kraje. Nie posądzajcie mię o zarozumiałość, ale pomysł ten wydał mi się świetny i dołożę wszelkich starań, aby go urzeczywistnić. Proszę was, drogie, a nieznanne przyjaciółki, napiszcie mi, jak on się wam podoba i nie zapominajcie o waszej życzliwej przyjaciółce, Amacie.

PROZA I POEZJA.

Pracownico Boża pokorna, cicha, coś uciech świata tego się wyrzekła, co u łoża cierpiących życie pędzisz,, brata ukochałaś w każdym ńędzarzu.

Ty zapłaty nie pragniesz na tej ziemi, nie chcesz, by ludzie wiedzieli o tobie, twoja dłoń zbiera kwiaty niewiedzące, a imię — zapiszą anieli w niebie.

Odgłosów radości nigdy nie słyszysz, życie twoje płynie wśród łez i bólów, a jednak na twych ustach gości uśmiech, bo serce zdroje pociech wszędzie niesie.

Sługó Chrystusowa cicha, pokorna, ty przechodzisz po ziemi czyniąc dobrze, jak Boski twój mistrz, bo ty słowa jego nosisz w swem sercu, i niemi się krzepisz.

Z tej prozy ułożyć trzy strofy wierszy rymowych.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(Od Mołodycy ukraińskiej dla Fali dniewprowej).

Z następujących zgłosek: **burg—ce—cel—de—den—e—ham—ho—isznl—la—le—mo—min—na** — ułożyć wyrazy: 1. Rzeka w Hiszpanii. 2. Słynna miejscowość kąpielowa. 3. Miasto w ks. hanowerskiem. 4. Miasto w północnych Niemczech. 5. Raj mitologiczny. 6. Kraina starożytniej Grecyi. Początkowe litery od góry do dołu i końcowe w kierunku przeciwnym utworzą imię i przydomek słynnego włoskiego mistrza sztuki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady:

No — wy — rok.

Łamigłównki głoskowej:

	K	W	A	
A	W	A	R	Y
K	I	N	G	A
R	A	D	O	M
	T	A	S	

SPROSTOWANIE:

W N-rze 3-m na str. 19 w wierszu pod tyt: „Za przykładem Chrystusa” w czwartym wierszu od dołu zamiast:

A przemawiał on jakoś i t. d., — czytaj:

A przemawiał tak jakoś poprostu i łatwo.

TREŚĆ: List z Warszawy. — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Szarańcza (z drzew.), — Król afrykański (z drzew.) — Roraty, p. Wielisława. — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.). — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Nieposłuszne kocięta (z drzew.). — Przejazdzka z wujaszkiem. — Łamigłównka i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Kto silniejszy, gra. **Dodatek książkowy:** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.



NIEPOSŁUSZNE KOCIĘTA.

Pani Kikitowska, bardzo rozważna osoba, mająca pod swym bezpośrednim nadzorem całą spiżarnią, strych, i wszystkie piwnice w zamożnym wiejskim dworze, miała jeszcze obok tego dwoje kociąt własnych, które bardzo starannie wychowywała: Kocię i Kizia. Wyrostki te, doskonale żywione, mimo wczesnego wieku, rosły ogromnie i już obiecywały, że będą wkrótce potężnymi kotami, jak ich matka, a jednakże dotąd pod surowym tąd matki nadzorem i rygiorem edukacyjnym, trzymane były tak krótko, jakby małe ladajackie kocięta. Takie zasady miała doświadczona pani Kikitowska, i koniec na tem. Mawiała ona często:

— Kocięta mają zajmować się myszami i niczem więcej! Traktat p. t. „Jak łowić myszy i załatwiać się z nimi przyzwoicie” powinien być jedynem ich czytaniem.

I wedle tych zasad postępowała pani Kikitowska: kocięta polowały już wybornie w domu, tak, że matka zdawała im nieraz nadzór nad spiżarnią, a jeszcze żadne z nich nie sprobowało pozadomowych przyjemności. Pewnego razu, w upalne letnie popołudnie zdarzyło się, że gospodyni, bardzo zadowolona z usług, jakie koty oddawały w domu, wyniosła przededrzwi miskę świeżego mleka i uprzejmie zaprosiła rodzinę Kikitowskich na

podwieczorek. Podziękowawszy grzecznem miauknięciem i otarłszy grzbiety pieszczotliwie o rękę gospodyni, co znaczy najwykwintniejszy „dobry ton” u kotów, zasiedli więc wszystko troje do mleka. Ale zaledwo jeść zaczęli, a gospodyni odeszła, gdy na brzeg miski wskoczyła mała, żwawa, ale nie miłej powierzchowności osobka i błyskając dużemi oczami, a głową kręcąc w lewo i prawo, wołała:

— Dzień dobry, pani Kikitowska! Jak się pani miewa? jakże dawnośmy się nie widziały! Dawno już z wizytą u mnie nie byłaś, ale ja nie jestem obraźliwa i przeto, jak widzisz, sama w odwiedzinie do ciebie przychodzę. A to są twoje małe dziateczki? Jakże rada jestem, że je poznaję!... — tak paplała nieznaną jej, na którą kocięta patrzyły zdaleka z pewnym wstrętem i strachem nawet, a sama pani Kikitowska rzekła tymczasem:

— Mylisz się wierutnie, moja pani żabo, jeżeli przez pewien czas bywałam w sąsiedztwie twego mieszkania, pod spróchniałym schodkiem od bocznej sieni, to tylko dla tego, że w tąd sieni postawiono kilka worków, do których chciały dobrać się myszy; moim więc obowiązkiem było pilnować tam porządku!

— Być może, niechże i tak będzie — zaskrzeczała żaba — ale mimo to, choć jesteś dumna i zapierasz się stosunków ze mną, ja jestem taka dobra, że nie mogę przenieść na siebie, aby ci nie powiedzieć, że masz przeliczne dzieci, pełne układności i rozum nawet widać im z oczu. To mię tylko dziwi, że wyglądają troszkę dziko, a może przyczyną tego są twoje zasady wychowania; sama biegasz często na polowanie na ptaszki, po ogrodzie, po dachach, a kociątka trzymasz ciągle w domu przy pracy nad myszami; to też widać na nich brak obycia się z wielkim światem. Ale co mi tam do tego; pewno i dzisiaj pójdiesz sama na ptaszki?... Ach! nie dziwię ci się, to prawdziwa rozkosz takie polowanie i ja pewnoby na nie poszła, gdybym tylko była kotką, nie żabą; do widzenia, łaskawa pani!... — i z temi słowy mała, skrzekliwa jejmość, skrzecząc bezustannie, zeskoczyła nareszcie z miski i znikła pod najbliższym krzakiem. Głuche milczenie zaległo przy mleku po jej odejściu; kocięta, odurzone jej skrzekliwą gadaniną, jadły ledwo końcem języczków, pogrążone w myślach, a matka przyglądała im się baczenie, aż rzecze po chwili:

— Moje dzieci, widzę, że paplanina tąd plotkarki was zajęła; powiedzcież mi szczerze, co myślicie, czy może polowanie na ptaszki, o którym nie słyszałyście dotąd, zawróciło wam łebki?

— Tak jest, proszę mamy. . niezmiernie mię to zajęło — wyznała Kocia, skromnie spuszczać oczki.

— W każdym razie musi to być bardziej zajmujące, niż uganiecie się za myszami — bąknął Kizio.

Pani Kikitowska smutno potrząsała głową.

— Otóż i niewłaściwe towarzystwo wywarło swój skutek — westchnęła — poddało wam chęci i myśli, od jakich was dotąd chroniałam: wiedzcież, o moje dziatki,

że polowanie na ptaszki, na które ja puszczałam się niekiedy dla rozerwania umysłu spracowanego, jest rzeczywiście przyjemną rozrywką, ale tylko dla kotów doświadczonych i silnych przytem! Dla tego to ja każę wam codziennie wyrabiać w sobie siły gimnastycznymi ćwiczeniami przy polowaniu na myszy i dlatego każę wam zgłębiać traktat p. t. „Jak łowić myszy i załatwiać się z niemi przyzwyczajcie”... bo niezmiernie wiele z uwag w tym traktacie zawartych daje się zastosować do polowania na ptaki. Gdy będę widziała, że siły wasze i doświadczenie dostatecznie są wyrobione, sama zaprowadzę was na to polowanie, ale nie prędzej, gdyż po całym sadzie i w parku pełno jest samotrzasków na lisy, kuny, i t. p. szkodników; jest tam też jezioro niebezpieczne dla nieumiejących pływać. Nakoniec są tu strzelcy, którzy polując także na ptaki, mogą wziąć kota za ptaka i zastrzelić, zwłaszcza jeżeli niedoświadczony kot tak się niezręcznie ukryje, że go strzelec poznać nie może. Pamiętajcież, dzieci, o tych wszystkich niebezpieczeństwach i ani mi się wście puszczaj na ptaszki, dopóki ja was sama nie wyprowadzę.

Tak mówiła troskliwa i doświadczona pani Kikitowska, a kocięta, przywykłe do posłuszeństwa, uważnie słuchały w milczeniu. Pomimo jednak surowego wychowania i całego posłuszeństwa, myśl o polowaniu na ptaszki tak im zawróciła łebki, że dniem i nocą o niem myślały. Wstrzymywały się jak mogły, perswadowały same sobie, że należy matki słuchać i na myszy dalej jak dotąd polować, a o ptakach ani zamarzyć nawet, ale... koniec końców przyszła taka chwila nieszczęsna, że kocięta zapomniały o obowiązkach swoich i wymknęły się w głąb sadu i do parku.

Niestety! wędrówka niedługo trwała, zanim namyśliły się, jak się wziąć do ptaszków, już usłyszały trzask złowieszczy i Kocia miauknęła przeraźliwie, uwięziona w samotrzasku, który schwycił ją za ogonek i trzymał jak zębami, a krew ściekała kroplami ze zranionego miejsca... Co ujrzawszy, przerażony Kizio skoczył w bok tak nagle, chcąc zapewne uniknąć takiego samego nieszczęścia, że odrazu jak kamyk plusnął w jezioro, błyszczące tuż za krzakami.

— Miau, miau, ratujcie! — miauczało jedno, tracąc przytomność z wielkiego bólu.

— Miau, miau, matusiu Kikitowska, ratuj! Już nigdy nie pójdziemy na ptaszki! — krzyczało drugie dziwnym, jakby nie swoim głosem, bo woda zalewała mu już pyszczek...

— Miau, miau, miau!...

Ale do domu daleko było, nikt nie słyszał rozpaczliwych miauków nieszczęsnych kociątek i już, już miały zginąć, gdy przypadkiem przechodzący tamtędy strzelec usłyszał ich słabe już piski, poznał domowe kocięta, wyciągnął jedno ze stawu, drugie wyjął z samotrzasku i odniósł w pół żywe do dworu.

Długo biedna pani Kikitowska musiała leczyć, ogrzewać, i opatrywać swą dziatwę, srogo lecz słusznie ukaraną za nieposłuszeństwo, ale też odtąd nie było na świecie kociąt posłuszniejszych, nad Kocię i Kizia. Następnie dorósłszy i chodząc już dawno z matką, a później i sami z jej pozwoleniem na polowanie na ptaszki,

nigdy przecież tej pierwszej przygody nie zapomnieli i z czasem swoim własnym kociętom dla ich nauki ją opowiadali.

M. Ziel.

PRZEJAZDZKA Z WUJASZKIEM.

(Dalszy ciąg).

Zosia spoglądała za nim, obaczyła, jak tłum ludzi rozstępował się przed wujaszkiem Karolem, który znikł jej z oczu, zastąpiło go zupełnie to zbiegowisko uliczne. Po pewnym przeciągu czasu uprzykrzyło się naszej dziewczynce siedzieć samą w powozie, czekając powrotu wujaszka, zaczęła się kręcić niecierpliwie, miała wielką ochotę zawołać na stangreta, żeby jechał dalej, ale nie śmiała, bo nie usłuchałby zapewne. Gdy wreszcie wujaszek ukazał się u drzwiczek powozu, twarzyczka jej znowu wyglądała skwaszona i nadąsana, zniecierpliwionym głosem zawołała:

— Czegoż wujaszek tak okropnie długo tam siedział?

Ale on nie zauważył nawet niezadowolenia siostrzenicy, czoło doktora Karola także było zasępione, lecz nie z powodu złego humoru, wyglądał zasmucony i zamyślony. Dał jakieś polecenie stangretowi, zapewne powiedział mu, gdzie ma jechać, a wsiadłszy do karety, westchnął głęboko i mówił głosem wzruszonym:

— Bardzo przykry wypadek się wydarzył. Biedna kobieta, sprzedająca zapałki, upadła przypadkiem pod koła jadącego omnibusu; taka biedaczka potłuczona i okaleczona, że musiano ją odwieźć do szpitala. Wyobraź sobie, Zosieńko, nieszczęśliwa ta kobieta, pomimo cierpień okropnych, błagała na wszystko, aby ją odwieźli do domu, bo zostawiła tam dwoje dzieci, które z głodu zginąć mogą bez żadnej pomocy i opieki. Musiałem jej dać słowo, że natychmiast pojedę do tych biednych dzieci, i postaram się je uspokoić i od ostatecznej nędzy uchronić. Dała mi swój adres, kazałem więc Tomaszowi tam jechać, spodziewam się, Kochanko, że poczekasz cierpliwie na mnie, ja prędko się tam załatwię.

— O, wujaszku! — zawołała Zosia, składając rączki błagalnie — niech wujaszek mnie weźmie z sobą do tych biednych dzieci — a gdy to mówiła, na twarzyczce jej nie pozostało już ani śladu zniecierpliwienia i zadąsania, natomiast ukazał się wyraz współczucia, bo Zosia, pomimo wad swoich, miała bardzo dobre serce.

— Nie wiem, moje dziecko — odrzekł doktor Karol, potrząsając głową — czy widok ten sprawi ci przyjemność. Jeżeli sądzisz, że się zabawisz w mieszkaniu tych biedaków, to się mylisz bardzo...

— Ach! wujaszku! — mówiła Zosia ze smutkiem, lecz bez zadąsania — czyż ja już o niczem myśleć nie potrafię, tylko o zabawie?

Wujaszek nic nie odpowiedział, przyszło mu na myśl, że widok nędzy tych biednych dzieci mógł być pożytecznym dla małej jego siostrzenicy, chciał jednak

wprzód się przekonać, czy w tem mieszkaniu nie było jakiej zaraźliwej choroby. Karetka zatrzymała się wreszcie w wązkiej uliczce, przed domem niepozornej powierzchowności. Doktor Karol wysiadł sam naprzód, wywołał stróża, a ten zapewne go uspokoił co do chorób zaraźliwych, bo po chwili powrócił do Zosi, wysadził ją i powiedział, że może z nim pójść do dzieci biednej kobiety.

Szli ostrożnie po ciemnych wschodach, spotkali kilkoro dzieci nędznie ubranych, każde zatrzymywało się i z podziwieniem patrzyło na Zosię; ładny jój ubiór był nadzwyczajną rzeczą dla nich, takie strojne panienki nigdy nie zaglądały do tego domu. Dosłyszała nawet Zosia, jak chłopczyk jakiś szepnął do dziewczynki, wskazując na nią:

— Czy to księżniczka jaka, czy co?

Wujaszek zapytał jednego ze starszych chłopców o mieszkanie wdowy Skowrońskiej, tak się nazywała biedna kobieta, chłopiec sam ich zaprowadził aż do drzwi na piątym piętrze. Tymczasem i wieczór zapadł, a w tym domu nie zapalano wcześniej światła na wschodach, bo przez cały dzień tam było ciemno. Z za drzwi dawał się słyszeć śpiew przyciszony, głosik dziecinny nucił jakąś kołysankę. Doktor zastukał i wnet mu otworzono, a ten sam głosik zawołał radośnie:

— O, mateczko, dzięki Bogu, żeś już powróciła. Tak mi się uprzykrzyło siedzieć cały dzień przy Jasiu, ale on był grzeczny, nie dokuczał mi wcale.

Dziewczynka pociemku nie spostrzegła, że to nie matka stała przed drzwiami, a otworzywszy je, pobiegła znowu w głąb izdebki, aż doktor Karol pierwszy przemówić do niej musiał.

— Moje dziecko — rzekł — matka twoja nie mogła dziś powrócić do domu, zaraz ci powiem dlaczego. Ja ją widziałem przed chwilą, przysłała mnie do was, sama zaś zostać musiała w takim miejscu, gdzie jój jest bardzo dobrze, możesz być o nią zupełnie spokojna.

Ale biedna dziewczynka, obaczywszy nagle przed sobą obcego pana, wcale nie była spokojna, lecz z przerażeniem, nieprzytomnie prawie na niego spoglądała. Doktor przystąpił bliżej, trzymając Zosię przed sobą i szepnął do niej, ażeby podała rączkę biednej dziewczynce. Sposób ten podziałał doskonale, widząc panienkę nie większą od siebie, która drżącą jój rękę ujmowała z taką serdecznością w swoje dłonie, biedaczka nabrała otuchy i słuchała odważnie dalszych słów doktora.

— Mateczce twojej, moje dziecko, wydarzył się wypadek, ale nie bardzo straszny, utłukła tylko nogę i nie mogła stanąć o własnej sile. Posadzili ją do dorożki i odwieźli do szpitala, gdzie są dobre Siostry Miłosierdzia i doktorowie, tam ją prędko wyleczą i powróci do domu.

Łzy rzewne oblały twarzyczkę dziewczynki, lecz wstrzymała się od głośnego płaczu, otarła oczy fartuszkiem, a potem wyraźnie i przytomnie odpowiadała na pytania doktora. Ojciec jój przed rokiem umarł w szpitalu, matka zarabiała sprzedając na ulicy latem kwiaty, zimą zapałki lub inne drobne przedmioty. Musiała więc

wychodzić z domu na cały dzień prawie, a ona przez ten czas pilnowała małego braciszka.

(d. n.)

Dziwanna
ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

Dziwanna da nam swoją głowę, do tego ogon swój doda jakiegokolwiek ziele, własne serce oddają kłosa, tulipan ofiaruje także głowę, a narcyzy ogon wspólny; wreszcie malwa doda do tego swoją głowę, a mak środkowe serce swoje.

Z tego wszystkiego, kto ma dowcip, ułoży pseudonym znakomitą poetki i autorki powieści.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 3-go.

Łamigłówni gwiazdki:

	K	K	P	
		O	O	A
B	A	W	Ó	Ł
	E	A	E	
	Ł	L	L	

Skrzynka do listów.

Stefcia i Helenka Z. z Częstochowy, zapoznawszy się lepiej z naszą redakcją, będą zapewne pisywały mniej ceremonialnie. Dla kierowniczkii Pisma, która na liściki odpowiada, najmiłszą jest nazwa „Kochanej pani”, tak ją oddawna zowią wszyscy korespondenci. Dołączone listy przesłaliśmy osobie interesowanej.

Złoty Chrzęszczyk musi poczekać, łamigłówek bowiem nadchodzi wielkie mnóstwo.

Malinka z Goworowa może zmienić pseudonym, ale wymieniony w liściku jest niemożliwy, z koniecznością zgodzić się potrzeba. Pojedynczych arkuszy powieści „W imię koleżeństwa” już nie mamy. Łamigłówna jest dobra, ale o cierpliwość prosimy.

Niezapominajka z nad Warty może korespondować z innymi panienkami, ale uprzedzamy ją, że adresów dokładnych dla ważnych powodów nie możemy podawać w Pismie.

Słowiczek z nad Wilii, to pseudonym niestosowny dla panienki; lepiej byłoby Pliszka, Dzierlatka, Jaskółka z nad Wilii, bo inaczej będzie brana za chłopczyka.

Kameleon otrzymał odpowiedź, a jeśli go nie zadowolili... nie nasza wina.

Jesień bardzo rozsądnie pisze; nikogo to w dumę wbijać nie powinno, jeżeli drobny swój utwór obaczy wydrukowanym, lecz wolno w tem znajdować przyjemność.

Radziwianka otrzyma żądany przedmiot, lecz później cokolwiek, bo chwilowo zabrakło zapasu, a żądania były liczne.

Pan Zygmunt O. w Horodyszczach nie zauważył zapewne, że Pismo nasze zamieszcza stale pogadanki naukowe.

Anię i Helę K. o dłuższy liścik prosimy; cieszymy się, że kochane korespondentki zadowolone z Pisemka, i że je z własnych oszczędności prenumerują.

Śnieżycy ma słuszność, tak serdeczny stosunek nie może być przerwany z zakończeniem 15-go roku. Obietnica kochanej Śnieżycy wielką nam sprawiła przyjemność, zaliczymy ją do gronka naszych miłych staruszek.

Krasnolica niech sobie główkę połamie, a pewnie wybrnie z kłopotu zaszczytnie.

Witold R. musi inną szaradę ułożyć, bo pierwsza próbka jeszcze nie do druku, zrażać się jednak nie trzeba.

Kochana Zosiu K.! Jesteś koleżanką mojej siostry. Znam cię i wiem, że masz 4-ech braci. Proszę cię namów którego z braci, ażeby dobrał sobie pseudonym, a ja do niego będę pisał. Czy już jesteś zdrowa? Zgadnij, kto ja jestem? Odpisz mi prędko. Kłaniam ci się a moja siostra cię ściska. Gołąbek z pod Pruszkowa

Droga Westalko! Dziękuję ci bardzo za odpowiedź. Ja przędę 16-tą niteczkę mego życia. Co teraz czytasz? Ja „Życie Franklina”. Czy czytałaś „Księżniczkę” i „Dwie Siostry”? To są najpiękniejsze powieści w świecie, nieprawdaż? Jesień.

(Autorki obu powieści dziękują za to pochlebne zdanie kochanej Jesieni. Przyp. red.).

Kochana Wodo źródłana! Czy ja z tobą chcę korespondować? Ty o to się pytasz? Ale z największą przyjemnością. Już znasz moje imię i wiek, nieprawdaż? A z twego opisu znam twoję osóbkę i miejsce pobytu, tylko zapomniałaś dodać swój wiek, to też nie wiem, czy należysz do starszych lub młodszych siostrzy-

czek? Mam nadzieję, że prędko odpiszesz? A tymczasem przesyłam ci życzenia choć spóźnione, i bardzo nawet, ale życzenia nigdy nie szkodzą, to też może zechcesz przyjąć moje wraz z serdecznym uściskiem, Jaskółki z nad Sekwany.

Przepraszam cię, kochana Praco, że nie odpisałam ci zaraz na list, który mię niezmiernie ucieszył. Ja mam 4 braciszków młodszych. Czego się uczysz i czego najlepiej lubisz się uczyć? Ja najbardziej lubię Historią i Język polski. Czytałaś „Małego Lorda.” Śliczny. Co będziesz robić, jak skończysz nauki? O sobie powiem ci w przyszłym liście. Całuję cię najserdeczniej, Krynica.

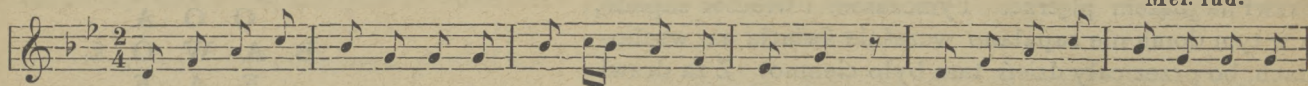
Światelku, Kozaczce serdeczne życzenia i pozdrowienia zasyła Krynica.

Jaguar do Europejczyka. Dlaczego nie pisujesz do mnie przez nasze kochane „Wieczory”?

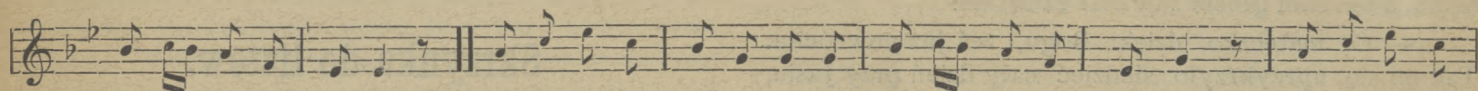
Kto silniejszy? *)

G R A.

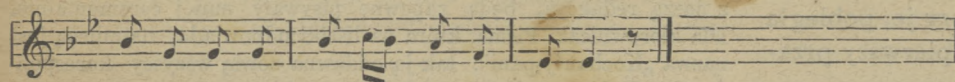
Mel. lud.



W słoń-cu bu-ja musz-ka ra-da z ży - cia u - cie - szo-na, Wró-bel na nią już na-pa-da



bie-dna bie-dna o - na. Prze-lę-knio-na la-ta wszę-dzie, a wró - be-lek za nią, Już ją ło - wi



po-niej bę-dzie śla - du nie zos - ta-nie.

W słońcu buja muszka rada,
Z życia ucieszona,
Wróbel na nią już napada,
Biedna, biedna ona!

Przełęczniona lata wszędzie,
A wróbelek za nią,
Już ją łowi, po niej będzie,
Śladu nie zostanie.

Wróblu, miej się na baczności,
Nie unikniesz kary,
Nieprzyjaciół masz ty swoich:
Pierwszy jastrząb szary.

Już cię łowi, już dogania,
Chwycił w ostre szpony,
Mały ptaszek główkę skłania,
Biedny, już zgubiony!

O, niedobry ty jastrzębiu,
Za to, żeś krwi chciwy,
Ktoś się znajdzie, kto cię zgęmbi,
Patrz, idzie myśliwy.

Człowiek mierzy i wnet strzela
Jastrząb martwy pada,
W strzelcu ma nieprzyjaciela,
Więc i jemu biada.

Dzieci tworzą koło i wybierają z pomiędzy siebie czworo, te wyobrażają muszkę, wróbla, jastrzębia i myśliwego.

Wybrani wchodzą do koła dopiero wtedy, kiedy posłyszają wymówione swoje imiona. W czasie śpiewu pierwszej strofki dziecko, wyobrażające muszkę, biega na palcach, mając ręce założone w tył i porusza pięściami; za niem lata wróbel. Dziecko, przedstawiające go, biega ciągle, ręce trzymając na biodrach i porusza łokciami.

Po skończonych dwóch strofkach, muszka staje pomiędzy dziećmi, tworzącymi koło, (jeżeli przedtem nie została złapana) a wróbel fruwa sam. Skoro dziecko, przedstawiające jastrzębia, posłysz swoje imię, natychmiast wpada do koła, machając rozpostartymi rękami, jak skrzydłami dużemi, łapie wróbla, a potem samo lata w kole dopóty, dopóki nie przyjdzie myśliwy i nie zastrzeli go, (fuzijką, może także piłką rzucać w niego) wówczas pada nieżywy na ziemię.

*) Przekład z niemieckiego.